Nr. 2. Kraków, 1 Czerwca 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 70 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 35 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie, we Lwowie zaś: Skład główny w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. —

KONKURSY.

Dla ożywienia ruchu literackiego w Galicyi, rozpisujemy dwa nieustające konkursy: na utwór beletrystyczny (nowella, obrazek, szkic) treści dowolnej, obejmujący około 400 wierszy druku oraz na utwór poetycki, treści dowolnej, obejmujący około 100 wierszy druku.

Pierwszy termin nadsyłania utworów poetyckich upływa z dniem 15 Czerwca b. r.; premiowany wiersz zamieszczonym będzie w numerze „Myśli“, który się ukaże 1 Lipca b. r. Pierwszy termin nadsyłania utworów beletrystycznych upływa z dniem 1 Lipca, wybrany zaś utwór wydrukowanym będzie w numerze „Myśli“ z dnia 1 Sierpnia b. r.

Nagroda za najlepszy poemat wynosi 10 złr. obok zwykłego honoraryum od wiersza, za prozę zaś 20 złr.. obok zwykłego honoraryum od wiersza druku.

Utwory, podpisane obranem godłem, uprasza się nadsyłać pod adresem redakcyi (Kraków, ul. Zielona l. 8), prawdziwe zaś nazwisko zechce autor załączyć w drugiej zapieczętowanej kopercie, naznaczonej tem samem godłem, co utwór.

Oba działy konkursowe oceniać będą specyalne komitety, złożone z wybitnych w literaturze naszej osobistości.

Do konkursu stawać mogą wyłącznie tylko prenumeratorki i prenumeratorowie „Myśli“.

Zaznaczamy, że wyniki obu konkursów ogłaszać będziemy w przyszłości w końcu każdego kwartału.

Redakcya.

LIST TEOFILA LENARTOWICZA.

Po wydaniu pierwszego numeru „Myśli“ doszły nas wprost lub pośrednio słowa uznania i zachęty. Ponieważ jednak *propria laus sordet*, chwalić się niemi nie mamy zamiaru. Jeden tylko czynimy wyjątek.

Czcigodny autor „Lirenki“ w liście pisanym do p. Kazimierza Bartoszewicza wita serdecznie naszą „Myśl“, w której, jak pisze, wiele mu „trafia do przekonania“. Pozwolimy sobie z tego listu przytoczyć kilka uwag i myśli głębokich:

„Niech Myśl“ nie obcina poezyj skrzydeł, nie krępuje się cenzurą — lepiej że pismo będzie miało mniej prenumeratorów na początek, niż gdyby miało wielu, a przechodziło warszawską cenzurę.

„Ogólny dziś w Europie duch optymizmu i pesymizmu wpływa i na nas — co nie dziwne — z choroby tej praca jedynie leczy i to nie wyłącznie piórem, bo litera to tylko hieroglif tego, co na dnie się ukrywa, a co wychodzi na jaw czynem.

„Obyśmy już raz porzucili oskarżania się i poniewierania. Poszukajmy celu u przeciwników, a jeśli ostatecznie znajdziemy, że w wielkiej myśli godzą się z nami, traktujmy ich z wyrozumieniem.

„Powiedz pan redaktorom „Myśli“, aby ustanowili rubrykę na zapisywanie czynów szlachetnych, bo te podnoszą i do życia zachęcają..., godność osobista, nie kłanianie się przed żadną powagą, prócz nauki ścisłej, a miłość braci, choćby ci kołki na głowie ciosali, — oto moja wiara...“

Żałujemy, że nie możemy podać w całości listu Lirnika Mazowieckiego. Pełno w nim ogólnych uwag trafnych i ogrom tej miłości, jaką plejada wielkich poetów zostawia w spuściznie narodowi. Pozwolimy sobie tylko przytoczyć jeszcze jeden ustęp tyczący się poezyi:

„Nie można jej podciągać pod żaden system — próżny trud, próżne gniewy — pójdzie, gdzie chce. — Z natury swojej jest ona nie podległą, skłonna do uwielbienia i ideałom swoim wierna, czy znajdzie aprobatę, czy nie. Jest miejsce na wszystko w wielkiem państwie myśli; na realizm i idealizm, na pesymizm i optymizm, na wiarę i negacyą... Tylko wszelka filozofia rymowana nudzi. Poezya, przy której tabakę zażywać potrzeba, źle się poleca, choćby się w niewiem jakie sukienki przybrała.“

(Dziękujemy serdecznie czcigodnemu poecie, nietylko za dowód sympatyi dla naszego pisma, ale i za tych kilka cennych uwag, na które się w całości piszemy. Zainteresowanie się Lenartowicza naszem pismem dodaje nam otuchy i utwierdza w przekonaniu, że na czasie podjęliśmy wydawnictwo „Myśli“ i że potrzebę jej zrozumie nasz ogół inteligentny.)

Przyp. Red.

KONSTYTUCYA 3 MAJA

w świetle poezyi.

Słusznie zauważono, że ocena faktów historycznych w oderwaniu od warunków miejsca i czasu, jakkolwiek potępiona w teoryi, w praktyce bywa jeszcze stosowana z całą brutalnością. Porównywanie konstytucyi 3-go Maja z współczesną konstytucyą francuską (1789 r.) do reszty paczy ciasny kąt widzenia. Rewolucya francuska zerwała tylko rusztowanie układowi oddawna już zmienionych stosunków, kiedy twórcy naszej konstytucyi musieli dopiero kłaść fundamenty pod budowę gmachu społecznego. Zaszczepienie na tułowiu bezrządu zarazków organizacyi rządu, skarbowości, administra-

cyi i t. p. gałęzi życia państwowego, które już kwitły w innych państwach, a których domagali się nawet poeci współcześni, była wielce dodatnim czynnikiem ustawy rządowej, w ogóle pierwszym warunkiem istnienia na teraz i dalszej zmiany stosunków społecznych. Doktrynerzy demokracyi zarzucają konstytucyi 3 maja wstecznictwo, ale późniejsze doświadczenia z radykalniejszymi programami wydały gorzkie owoce, przechylając szalę słuszności na stronę umiarkowanej polityki twórców naszej konstytucyi, przestrzegających rozumną zasadę: „trzeba robić co się da, a nie jak byłoby najlepiej“. (Z listu Piatollego do Ignacego Potockiego z dnia 12 Lutego 1791 r.) Młodsza gałęź literatury sejmu czteroletniego, nosząca charakter rewolucyjny, wykazuje wprawdzie świadomość radykalniejszych programów, atoli do wcielenia świadomości tej brakowało u nas jak to wykazują także utwory poetyckie, tak przedmiotowych jako też podmiotowych czynników, aby móc za jednym zamachem zwalić mury przesądów i uprzedzeń. W strasznej agonii państwa rozćwiartowanego przez wrogów i rozpadającego się z własnej niemocy w gruzy, jaśnieje konstytucya 3 maja i w świetle poezyi współczesnej jako świadectwo skruchy i poprawy z dawnych win i błędów, jako dowód żywotności narodu, który upadł ale nie zginął, jako hasło protestu przeciwko przemocy obcych, jako spuścizna, w której czerpał naród siły w krwawych o niepodległość i wolność walkach. W poezyi sejmu 4-letniego myśl reformy znalazła przytulisko i stała się żródłem, zasycającem dzielnie wartki prąd zdrowych wyobrażeń w narodzie. Rozbudzona i spotęgowana ruchem politycznym twórczość poetycka przybiera tu charakter aktualny, dając obraz dążeń potrzeb i walk ówczesnych, objaśniając niejednokrotnie ukryte sprężyny wypadków, w ogólności rzucając żywsze światło na całą ówczesną opinią. W poezyi tej przybierającej kameleonowe barwy i kształty utworów scenicznych, listów poetycznych, ulotnych wierszy, hymnów, satyr, a nawet paszkwilów uderza przedewszystkiem realizm t. j. ścisły związek poezyi z życiem społecznem i politycznem narodu. Jako przykład wystarczy zestawienie wiersza St. Trembeckiego: „Do moich współziomków w czasie sejmu czteroletniego“ choćby z depeszą księcia Kaunitza do posła austryackiego w Warszawie de Caché.

Depesza ks. Kaunitza.

„Przyszły sejm pokaże, czego Rzeczpospolita po samej sobie spodziewać się może. Jeżeli prywatne zawiści wezmą znów górę nad interesem, jeśli chęć wzajemnego dokuczania zagłuszy potrzebę zgody, Rzeczpospolita stawi się sama nad przepaścią“.

Wiersz St. Trembeckiego.

Dziś na nas obrócony
Wzrok mają narody
Ale jeśli na sporach czas wycieńczą marnie
Jeśli wzgląd osobisty serca ich ogarnie,
Już mnie o szczęściu Polski nadzieja odbiegnie.

Zostawiając na uboczu utwory poezyi odnoszące się w ogólności do sejmu 4-letniego ograniczę się do samej chwili ogłoszenia konstytucyi, aby poznać wrażenie jakie wywarła na współczesnych i ich o niej opinią. Dzień 3 maja witany w całym kraju z niesłychanym zapałem i uwielbieniem odbił się przedewszystkiem w spółczesnych pieniach. Wymienia ich kilka z tytułu praca R. Pilata: „O literaturze politycznej sejmu czteroletniego“ do której dorzuca obecnie Bibliografia Estreichera (tom IX pod r. 1791—1792) kilkanaście nowych tytułów. August Sokołowski w rozprawie „Ustanowienie konstytucyi 3-go maja 1791 r. zebrał także kilka pieśni z tego roku. „Trzeci maj“ książka wydana przez towarzystwo poznańskie „Staszyca“ i K. Bartoszewicza „Księga pamiątkowa setnej rocznicy konstytucyi“ ogłaszają ich więcej. Z wiązanką pieśni zebranych przeważnie w bibliotece uniwersytetu lwowskiego i w Zakładzie Ossolińskich dzielę się z czytelnikami, rozpoczynając przegląd ich od pieśni ogłoszonych w 1791 r. i podnosząc z każdej tylko właściwości, powtarzające się w wielu albo we wszystkich pieśniach. W wierszu bezimiennym p. t. „Na dzień 3-go maja szczęśliwie doszłej kostytucyi“ śpiewanym na nutę „Patrzcie bogacze świata“, poruszono z lekka, jak w uwerturze wszystkie struny uczucia na których grają pieśni współczesne poświęcone tej wiekopomnej dobie. Kochanek Justyny rzuca kwiaty pod stopy „wodzów narodu“ jak nazywa twórców konstytucyi, a radby na uczczenie „świętego dnia“ wyuczyć pieśni godowej dzieci i wnuków „aby przechodziła z pokolenia na pokolenie“. Oszołomiony radością widzi już miasta a nawet „wioski szczęśliwe“ ludzi zwaśnionych w zgodzie, odzyskane straty i szkody. Żałuje tylko że spoczywający w grobie ojcowie zeszli z tego świata bez nadziei, nie doczekawszy się wspaniałego wschodu słońca. Szczególniej cieszy się z tego, że podźwignięto miasta i zorganizowano wojsko na obronę kraju i że przez ustanowienie tronu dziedzicznego zakończy się wreszcie bratobójcza walka (elekcyjna). Przez całą pięciozwrotkową pieśń snuje się refren, wyrażający niekłamane uczucia, żywione w pamiętną chwilę dla St. Augusta, święcącego tryumfy.... w poezyi:

„Jakże ten król nasz bogaty“
„Skarb jego serc miliony....“.

Drugi bezimienny poeta prawdopodobnie Michał Mackiewicz w pieśni p. n. „Dzień 3 Maja 1791“ składa ofiary na ołtarzu wolności, tej „świętej córy przyrodzenia“, której naród buduje w tym dniu świątynie. Dotychczas była ona przytłoczona grubą warstwą uprzedzeń i ciemnoty. Konstytucya otrząsła ją z tego kurzu, którego płacze tylko „gmin“ szlachecki. Precz odtąd z fałszywemi zasadami, co wolnością mniemały bezład i swawolę, dziś się prawdziwa dla Polaka rodzi wolność czynienia tego, co nakazuje prawo. Poeta uderza tu gwałtownie na frymark polityczny, który nie budzi, ale państwa całe zabija, niewinnie knując w ciemnościach gabinetów zgubę i podnosi już dłoń, aby wymazać imię polskie z rzędu państw.

Pod koniec zwraca się poeta do orła, godła Polski w te piękne słowa:

„A ty, coś ponad brody nadeschłej topieli
Nosił rószczkę oliwy ptaku śnieżnej bieli,
Wznieś lot bujny nad krajem, co się dziś odradza
Niech się brat z bratem w dziką nieprzyjaźń nie zwadza
Niech się wszyscy uścisną mieszkańcy tej ziemi“.

(C. d. n.)

Dr. Henryk Biegeleisen.

JAN ALEKSANDER hr. FREDRO.

(Ur. 2 Września 1829, † 14 Maja 1891).

Komedya polska poniosła ze śmiercią „młodego Fredry“ ciężką stratę. Był to pisarz dużego talentu, o temperamencie na wskroś polskim, odczuwający dobrze pewną sferę naszego społeczeństwa, pełen werwy, dowcipny, lekki, bystry obserwator — słowem, obdarzony wszystkimi niemal przymiotami, które do stworzenia dobrej komedyi niezbędnie są potrzebne. Gdyby „młody Fredro“ miał był zdolność patzenia głębiej, i widzenia szerzej, gdyby miał był zdolność odczuwania poważniej i silniej, gdyby nakoniec nie traktował zbyt często świata ze stanowiska oficera od ułanów, w czaku na bakier, z ręką pod bok, i z wąsami do góry, mógłby był zająć stanowisko bardzo bliskie wielkiego swego

ojca. Jednostronność jego talentu, jednostronność nie tak potężna w swoim rodzaju, aby o niedostatkach zapominać zmuszała, a imponować sama przez się mogła: „młodemu Fredrze“ nie dozwoliła zająć jednego z pierwszych miejsc między komedyopisarzami polskimi.

Śmiesznem by jednak było, gdyby mu kto zarzucał, że był takim, jakim był, a nie innym, że nie był takim, jakim według czyjegoś widzimisię, być był powinien. Był, jakim mu natura być kazała, jakim urobiły go warunki życia.

Fredro, urodzony w domu arystokratycznym, z usposobieniem wielkopańskiem, bywalec, światowiec, wykształcony i obdarzony zmysłem spostrzegawczym, kiedy powrócił po długich wędrówkach do rodzinnej Galicyi i rozejrzał się w koło: musiał zobaczyć mnóstwo rzeczy, które każdemu inteligentnemu człowiekowi uśmiech na usta sprowadzą. Cóż dopiero, jeżeli ten człowiek ma talent autorski, ma humor komedyopisarski!... Posypały się też komedye nie zjadliwe wprawdzie, nie pesymistyczne, nie rezonerskie, ani kaznodziejskie, nie wylewające ludziom na głowę cebrzyka pomyj, ani rzucające im na głowę pioruny; ale komedye, pełne śmiechu, często poprostu farsy, komedye wielkiego pana i kawalerzysty, z pałacu i z konia na świat patrzącego.

Komedye te, to więcej szkice, niż rysunki, więcej improwizacye, niż artystycznie wykończone utwory. Z niesłychaną łatwością, z nieporównaną werwą prześlizga się autor po temacie, zaznacza figury, skreśla sytuacye. Temat często zbyt błahy, figury krzywe trochę i nienaturalne, sytuacye nie zawsze prawdopodobne, ale wszystko razem zabawne, a o to autorowi chodziło.

Stary Fredro jest wielkim artystą, młody jest raczej dyletantem. Zbyt on wprawdzie utalentowany, aby go w poczet artystów nie zaliczyć można, ale — gdy takie „Śluby panieńskie“, taka „Zemsta“, taki „Geldhab“, taka „Cudzoziemczyzna“, wszystkie nieledwie dzieła starego Fredry, na scenie oczarują, w czytaniu nie stracą nic ze swych zalet; czy o „Oj młody młody!“, czy o „Consilium facultatis“, czy o „Drzemce pana Prospera“ da się to samo powiedzieć? Czy ten pisarz lekki nie wyda się nam za lekkim, jego dowcip za pustym, jego obserwacya za powierzchowną? Podobno tak. Jeżeli dalej zestawimy ojca i syna, to czy typy, stworzone przez młodego, będą miały tę wieczną w sobie świeżość, tę niestarzejącą się żywotność, jakie swoim typom nadaje stary Fredro? Cześnik, rejent, Orgon, Łatka, Jowialski itd, itd. — wszak to galerya postaci godna, aby ją nieopodal galeryi z „Pana Tadeusza“ postawić, galerya wspaniała, z takim kunsztem, z takim artyzmem odmalowana, że kiedy kości modelów w proch się już obrócą, portrety ich będą o nich mówiły głosem, co nie zamiera; czy typy młodego Fredry przeżyją o wiele swego autora?

Cokolwiekbądź, jakikolwiek sąd wyda potomność, historya literatury powie, że „młody Fredro“ zajmował w swoim czasie jedno z wybitnych stanowisk w szeregu pracujących piórem, że w swoim czasie popularność miał ogromną i uznanie wielkie, i że na oboje zasługiwał, Powtarzamy: ciężką poniosła stratę komedya polska ze śmiercią „młodego Fredry“.

Kt.

SALOMON I SULAMITKA.

(FRAGMENT).

SULAMITKA.

Twe oczy jak pochodnie gorą, od których noc się rozpłomienia.

SALOMON.

Wśród rzęs twe oko, jak jezioro, które nadwodny gaj ocienia.

SULAMITKA.

Twe usta są jak wiśni grona purpurą malowane ciemną.

SALOMON.

Ust twoich róża rozchylona motyle nęci ponademną.

SULAMITKA.

Pierś twa, jak brama, kędy woje wroga łoskotem trwożą stali.

SALOMON.

Jak dwa gołębie piersi twoje, co na śnieżystej siedzą hali.

SULAMITKA.

Twe słowa jak najsłodsze miody, jako szum cedrów twoja [mowa.

SALOMON.

Jak dźwięczy szelest górskiej wody, jak zapach myrry twoje [słowa.

SULAMITKA.

Jak płomień podczas nocy mroźnej, tyś pożądany mnie i drogi.

SALOMON.

Jak łódź do brzegu z fali groźnej, spieszę, o luba, w twoje [progi

SULAMITKA.

Pierś twą chcę czuć na mojem łonie, w uściski pochwyć [mnie palące.

SALOMON.

Zstokrotnić chciałbym moje dłonie i ust i źrenic mieć tysiące.

SULAMITKA.

Ramiona twoje mnie unoszą, jak róża od gorąca, mdleję.

SALOMON.

Poję się twego tchu rozkoszą, jak palma w piaskach, gdy [wiatr wieje.

SULAMITKA.

Obłok zasłania me źrenice, w otchłań upadam, w głębię [ciemną....

SALOMON.

W oczach mych skrzą się błyskawice, ziemia zapada się po- [demną...

Kazimierz Tetmajer.

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

II.

Emigracya patryotyzmu do Argentyny. — Stosunki królowej Natalii z literatami polskimi.

W mowie każdego kandydata na posła i w szpaltach każdego dziennika wychodzącego w Krakowie, czytam od lat wielu frazes: „znanym jest patryotyzm mieszkańców Krakowa“, albo „patryotyzm mieszkańców Krakowa jest znanym“, albo wreszcie „mieszkańców Krakowa znanym jest patryotyzm!“ Widząc to i czytając ciągle, miałem zamiar drugi mój fejleton w Myśli rozpocząć od wyrazów: Krakowa mieszkańców patryotyzm znanym jest, — kiedy na nieszczęście (nie wiem czy dla mnie, czy dla patryotyzmu) poszedłem na pogrzeb ks. biskupa Krasińskiego.

Poszedłem, bo uważałem to za swój święty obowiązek. Zmarł starzec zacności nieposzlakowanej, zmarł dostojnik kościoła mężnie noszący cierniową koronę obowiązków, zmarł uczony i pisarz pełen zasług dla literatury i języka, zmarł wreszcie gorący patryota, wygnaniec za wiarę i ojczyznę. Były więc przynajmniej cztery powody, aby „znani z patryotyzmu mieszkańcy Krakowa“ oddali ostatni hołd śmiertelnym szczątkom wielkiego wyznawcy i obywatela.

Spodziewałem się spotkać liczny szereg duchowieństwa, ujrzeć karawan zarzucony stosami wieńców, a za nim niezliczone tłumy „znanych z patryotyzmu mieszkańców Krakowa“. Nadzieje moje ziszczone zostały tylko co do udziału duchowieństwa, — wieńców ujrzałem mniej niż na trumnie pierwszego lepszego członka resursy — za karawanem postępowało na rynku osób 400, a za ogrodem strzeleckim nie cała setka.

Biłem się z myślami, gdzie się podział patryotyzm? Postanowiłem go szukać. Udałem się na kolej, aby zapytać komisarza policyi, czy przypadkiem patryotyzm nie wyjechał już na letnie mieszkanie, lecz p. komisarz oświadczył mi, że opuścił wprawdzie nasze miasto szambelan Xski i hrabia Ywicz (o czem zawiadomione już zostały dzienniki), ale patryotyzmu w towarzystwie ich nie widział.

Pytałem w redakcyach dzienników, czy przypadkiem nie ma co w wiadomościach policyjnych o „patryotyzmie“, czy nie zmarł nagle na udar sercowy? czy nie emigrował do Brazylii? lub czy nie złamał sobie ręki lub nogi? Zaprzeczono jednozgodnie moim domysłom, — jeden tylko złośliwy reporter podsunął mi podejrzenie, że prawdopodobnie zajęty jest on (patryotyzm, a nie reporter) zakładaniem jakiego nowego stowarzyszenia, lub też został aresztowany za pijaństwo.

Rozpocząłem wędrówkę po stowarzyszeniach. Znalazłem dużo prezesów, sekretarzów, cały szereg wniosków, niezliczoną ilość poprawek do statutu, kilkanaście robrów winta, pięć projektów na składkową kolacyę, — ale patryotyzmu nie było. Zwróciłem więc kroki ku handelkom. Eureka! Patryotyzm siedział przy czternastej bombie.

Ukłoniłem się nisko jego przedstawicielom i spytałem dlaczego nie byli na pogrzebie? — Czyim? — zapytano. — Biskupa Krasińskiego. — Albo ja go znałem, albo co? — odpowiedział najgrubszy przedstawiciel. — Cóż mnie biskup obchodzi? dodał najcieńszy.

Zacząłem rzecz tłómaczyć — wyśmiano mnie. „Mój panie! — mówił najgrubszy — najprzód każdy biskup to stańczyk, a że był członkiem Akademii, panie kochany, toć my wiemy, że tam prawdziwie uczonych koterya nie dopuszcza. My, panie, ludzie pracy, szczerzy patryoci, musimy dobrze kogoś poznać, aby mu uwierzyć. Kto chce być z nami, niech się zapisze na członka „Miłości“, albo panie tego do „Łuczników“, niech nam mądrze gada, kieliszkiem się trąci, pójdzie na zebranie przedwyborcze, tak jak panie, robią patryoci...“

Opuściłem zacne grono i poszedłem do drugiej grupy, szynkującej innego rodzaju patryotyzmem. Na nowo pytam, na nowo rzecz tłomaczę. Nie wyśmiano mnie wprawdzie, ale grzecznie przedstawiono, że zmarły nie był „pewnym“, za zbyt wolnomyślnym, zresztą wszelka manifestacya jest szkodliwą!

Poszedłem do patryotycznej młodzieży, ale ta właśnie była zajętą „wyborami“ i debatowała nad uszczęśliwieniem ludu zapomocą odczytów o rozwoju idei demokratycznej.

Patryotyczne nasze damy żałowały mocno, że nie mogły wziąć udziału w pogrzebie, ale pora obiadowa stanęła im na przeszkodzie. Pannie Kokietko zresztą nie zrobiono na czas okrywki, a pani Brząkalska poszła na konferencyą do Louvre'u.

Wędrowałem dalej podług dostarczonych mi „adresów patryotycznych.“

Przyjaciele od „młota i kielni“ nic nie słyszeli o żadnym Krasińskim, młodzież szkolna „była przeszkodzoną“ obiadem i lekcyami, urzędnicy właśnie mieli pilne „kawałki“ do załatwienia, patryotyczna inteligencya wreszcie (jak to już widzieliśmy) była w porze pogrzebu... na śniadankach.

Pomału zaczynałem rozumieć wszystko. Zrozumiałem także dlaczego magistrat (czy rada miejska) nie kazał zapalić gazu, i nie okrył kirem latarni, jak to czyni przy pogrzebach wielkości miejscowych, dlaczego rozmaite patryotyczne mundurowane i niemundurowane stowarzyszenia nie wystąpiły *in corpore*, dlaczego nie widziałem chorągwi na gmachach i z okien instytucyj publicznych, dlaczego wreszcie ciało zmarłego wieziono przez ulicę Mikołajską, kiedy jak wiadomo każda wielkość własnego chowu ma prawo dostać się do wieczności przez bramę Floryańską.

Ponieważ rozmowy z patryotami znużyły mnie dostatecznie, poszedłem do domu i wziąłem do ręki pełne miłości kraju i społeczeństwa „Zdania“ biskupa Krasińskiego. Dwa z nich utkwiły mi w pamięci:

Są ludzie, nawet dobrzy, co dlatego błądzą,
Że zamiast dobrem kraju, stronnictwem się rządzą.

Stronnictwa się w truciznę narodu obrócą,
Gdy się tylko przy swojem upierając kłócą.

Kto domyślny, temu tłómaczyć nie trzeba, jaki związek zachodzi między temi dwoma zdaniami, a naszym patryotyzmem, co tak potężny dowód swego istnienia dał nam w pogrzebie biskupa wileńskiego.

Zresztą zapał skierowany był wówczas w inną stronę. Cztery tysiące kilkaset złr. jakie wpłynęły do kasy Syngalezów wskazują jasno czego nam potrzeba. Licząc przeciętnie 20 ct. od osoby, odwiedziło 20 tysięcy znanych z patryotyzmu mieszkańców Krakowa nieznanych z patryotyzmu mieszkańców Ceylonu. Trzeba było widzieć z jakim zapałem biegła młodzież do ogrodu Krakowskiego, jak płeć mężka zachwycała się lekkim strojem i... rzeźbą Syngalezanek, a płeć piękna uwielbiała... budownictwo.

Ale przejdźmy z pola sztuk pięknych do literatury. Przed dziesięciu dniami warszawski Kuryer Codzienny pomieścił artykuł p. Jana Grzegorzewskiego o stosunkach jego z panną Natalią Keczko, kiedy ta jeszcze była mężatką i królową. Ponieważ artykuł ten przedrukowały dwa pisma galicyjskie, jedno lwowskie a drugie krakowskie, przeto nietylko nad brzegami Wisły i Dłubni, ale u źródeł Pełtwi, u dopływów Wielkiego i Małego Brnia, nad Sanem i Dniestrem, w dolinie Dunajca, nad wartką Tanwią, Łopiennicą i Osławą, w okolicach Strypy i Gniłej Lipy, wie naród wszystek, że Natalia rozmawiała po francuzku z p. Janem Grzegorzewskim. Do dziejów więc naszego narodu, zwłaszcza do historyi stosunków Polski ze Słowiańszczyzną południową przybył fakt, którego następstw na razie przewidzieć nie można. Przykro mi tylko, iż nie mogę ze względów osobistych wziąć udziału w przygotowaniu owacyi, mającej być wyrazem wdzięczności społeczeństwa dla p. Jana Grzegorzewskiego. Brzydka to rzecz wprawdzie stawiać urazy osobiste ponad sprawę publiczną, ale do grzechu tego otwarcie się przyznaję.

Krótko mówiąc, podrażnioną została moja miłość własna. Pan Jan Grzegorzewski zapomniał, a raczej umyślnie zamilczał o moich stosunkach z królową Natalią. Przekazał historyi swój frak, wdziany dla uczczenia królowej, a słowem nawet nie wspomniał o kamizelce pikowej, jaką w tym dniu niżej podpisany miał na sobie. To mnie zmusza uzupełnić opowiadanie pana Jana i przedstawić rzecz całą we właściwem świetle.

Otóż tak było. Znajdowałem się właśnie rano koło g. 10tej u królowej i... (okoliczność tę dyskrecya pominąć mi każe...) kiedy dano znać, że Hajotowie-Rogozińscy w przejeździe z Kamerunu do Fernando-Poo zawitali do Belgradu. Natalka zerwała się z fotelu i napisała polecenie do prezydenta policyi Pirwirmarczowicza, aby ukochanych naszych Hajotów dostawił żywymi lub umarłymi. Nie upłynęło dziesięciu sekund, a już byli w naszych objęciach. Gawęda ciągnęła się parę godzin, paliliśmy fajki z antypek stambulskich, później znowu była gawęda i fajka, następnie fajka i gawęda, — jak mówi nasz zacny rzeźbiarz p. Walery. Wkońcu strasznie zachciało nam się jeść. „Przetrąciłabym nieco...“ rzekła półgłosem Hajota. Natalka zadzwoniła i kazała przynieść dwie porcye antrkotów z maderą od Bogusiewicza. Marszałek dworu Petro Paprykiewicz wydobył parę niewinnych flaszeczek Muma i gadu gadu, papu papu, nie obejrzeliśmy się jak na maryackiej wieży czwartą wytrąbiono.

— *Times is of money*, szepnęła Natalia i kurczowym odruchem ramion cudną swą główkę podała ku tyłowi.

— *To be is not to be*, wyrzekłem z drżeniem w głosie i delikatną jej rączkę (nie pamiętam dobrze: prawą czy lewą) przycisnąłem do warg spieczonych polotem myśli.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu głębokiem, gdy dźwięczny głos odezwał się za nami:

I sell bollers and bellows, spoons and tea — kettles.
Buy old gold and silver and all sorts of metals.
All things you require both for comfort and ease
And Morison's pills to prolong life, if you please.

— Olendzki, witaj Władku! — zawołał pan Stefan, a za chwilę i w moich objęciach spoczął były nadworny kochanek królowej Madagaskaru. Nacia znała Olendzkiego jedynie z głośnej wyprawy partyzanckiej na szczurach do Franz-Josephs Landu, serdecznie się więc ucieszyła z zawarcia osobistej znajomości. Wracał on właśnie z Turkestanu, gdzie polował na dzikie indyczki z cesarzem brazylijskim i jego serdecznym przyjacielem hrabią Władysławem Sas Kulczyckim, który jak sam pisze „cieszy się jako poeta we Włoszech wielkiem uznaniem".

Rozmowa i dalej toczyła się po angielsku.

— For a long time I have not heard of John Gschegoscheffsky, your dear blagered monumenthal preparing — rzekła w czasie rozmowy Natalka. I wtedy to, jakby na zaklęcie czarodziejki, ukazała się we fraku i z fajeczką w ustach wysoka postać pana Jana w towarzystwie bułgarskiego malarza. Uznałem całą ważność chwili, jej doniosły wpływ na Słowiańszczyznę — usunąłem się więc dyskretnie do buduaru królowej...

Dalsze dzieje opisał już dokładnie p. Jan Grzegorzewski.

. . . .

Na ostatek zostawiłem radosną i bolesną zarazem wiadomość. W pierwszym fejletonie wyjąłem ze „Sportu" chwilową wieść o śmierci kierownika Polly, Joe Raymera. Narodzie ciesz się, Raymer żyje!

Narodzie płacz! Nie umarł Raymer, owszem „cieszy się najlepszem zdrowiem" (Sport Nr. 3), ale los ciężko go dotknął, odbierając mu żonę.

Telegram zamiast Mrs. Raymer, podał Mr. Raymer — i sporciarze nasi wylali niepotrzebnie całe wiadra łez i zużyli sto tuzinów chustek do nosa. A możeby w imieniu Krakowa przesłać kondolencyą?

K. Bartoszewicz.

CO TO JEST HISTORYCZNY OBRAZ?

Pan K. Bartoszewicz umieścił w pierwszym numerze „Myśli" artykuł — „o konstytucyi 3. Maja" Jana Matejki — i to nam dało powód do skreślenia kilku następujących uwag.

Pan K. B. zarzuca cały szereg nieścisłości historycznych wymienionemu obrazowi — i robi to zupełnie na seryo — jak gdyby to był pierwszy tak zwany historyczny obraz, któremu takie nieścisłości zarzucać można. Fakt się stał przed stu laty. A cóż by można znaleść za błędy historyczne w obrazach, które przedstawiają fakty z przed lat 200, 300, 400, 500 itd.?

Znałem jednego malarza, który ogromnie zmizerniał — komponując obraz historyczny roku pańskiego 1100; poradziłem mu zimne okłady i spacer — no i wybrał się jakoś. Inny znowu zapewniał mnie, że „głowa mu pęka" od myśli — w jaki sposób ma ubrać panów z 1200 roku w obrazie, który ma zamiar malować — temu znowu poradziłem bednarza i parę obrączek, celem wzmocnienia rozluźnionych klepek, i to też Bogu dzięki pomogło. Zauważyć należy, że ten malarz „myślał jak ubrać" — bo do 1200 roku, nawet dokładnych danych co do ogólnego wyglądu szat nie ma. Taka też to i historya, „że jakiś pan co się nazywał X. zabił pana co się nazywał N. w wieku 12-tym, zamiast zrobić pana X, i pana N. w wieku 19-tym".

Patrząc na obrazy Pradilli, Matejki, Gersona — albo na: Velasqueza, Wernera, Newilla, Wereszczagina, które z tych obrazów nazwiemy historycznymi a które nie? Ogół krytyków i publiczności twierdzi, że „wzięcie Grenady" Pradilli, namalowane 1880 dajmy na to roku — jest obrazem historycznym — jakaż więc różnica będzie, pomiędzy Pradillą a Velasquezem, który wzięcie Bredy namalował *de visu*; współcześnie z faktem, który mu za temat posłużył. Zdawałoby się, że Velasquez jest więcej historyczny. Tak samo cykl cały malarzy francuskich, którzy malowali dzieje bitew Napoleona I., na jego żądanie jest chyba więcej historycznym niż n. p. Meissonier'a, „Szarża pod Austerlitz" lub „Odwrót z Moskwy" — namalowane w pięćdziesiąt lat po faktach.

Teraz z kolei rzeczy wypada nam zastanowić się nad środkami, jakimi — malarstwo rozporządza. Malarstwo jest naśladowaniem natury. Do tego celu malarz ma środki następujące: Kawał płótna lub kawał ściany, pendzle i farby. Ponieważ naśladując naturę i chcąc wrażenie jej przenieść na płótno, odbieramy wrażenie zapomocą wzroku — wzrok więc służy nam potem do sprawdzania dokładności naszych wrażeń już na płótnie utrwalonych. Ponieważ dalej, naśladując naturę zapomocą kształtów i barw nieruchomych, że się tak wyrazimy, nie możemy wyrazić ani ciągłości ruchu ani trwania czasu, musimy ograniczyć się na pewnym momencie czasu i na pewnych momentach ruchów i barw. Jednem słowem, malarstwem możemy wyrażać tylko momentalne wrażenia wzrokowe. Niekoniecznie potrzebujemy widzieć w naturze scenę, którą staramy się namalować — ale nasze uczucia muszą przejść koniecznie przez pryzmat wrażeń wzrokowych, które nadają im w umyśle naszym formy obserwowane w naturze. Jak tedy, co widzimy, można malować rzeczy widziane i niewidziane, tak znowu przyznać potrzeba, że scenę, którąśmy widzieli, możemy odtworzyć bezstronniej i z większą prawdą względną, ponieważ umysł nasz ma wrażenie przybyłe z zewnątrz z formą określoną. Fakt zaś, o którym słyszeliśmy lub czytali, możemy wyobrazić sobie na tysiąc sposobów zupełnie dowolnych, szczególniej, jeżeli naoczni świadkowie faktu nie istnieją już, aby naszej fantazyi nałożyć wędzidło.

Historyczność faktu z punktu malarskiego, jest jego prawdą w miejscu, w formie i barwie — jednem słowem jest samym faktem podanym następującym po nas ludziom takim, jakim był istotnie. Ta konkluzya, jako wrażenie wzrokowe dla spółczesnych, doprowadza nas do wniosku, że tylko obrazy malowane pod bezpośredniem wrażeniem faktu mogą być historycznemi, a w praktyce się to stwierdza codziennie. Spółczesne obrazy, przedstawiające jakieś fakty są dla nas dokumentami historycznemi, pomijając już ich wartość artystyczną. Tak zwane obecnie w potocznej mowie obrazy historyczne, namalowane pod wrażeniem relacyi czytanych lub słyszanych a zawsze niedokładnych. mogą dla nas mieć wysoką artystyczną wartość, ale wymagać prawdy historycznej od nich jest całkiem nie na miejscu. (D. n.)

A. Piotrowski.

CÓRKA LEŚNEGO.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

WISŁAWA.

I.

Kto widział Warwarkę, idącą w niedzielę do cerkwi — mógł zamknąć oczy, siąść pod dąb wypróchniały, a niezawodnie wszystkie hurysy — majki, wille, „bohynie" — wedle wyobrażeń indywidualnych — zbiegły by się do niego, Ba! żeby to można oczy zamknąć i zasnąć! Ale ta czarodziejka nie nadarmo uchodziła za najpiękniejszą we wsi dziewoję!

Umiała ona z pod rzęs niby strzępki jedwabiu, spadających na aksamitne policzki wypuszczać strzały, które koło serca okręcały się, jak liany amerykańskie i długo, długo spędzały sen z powiek śmiertelników!

— Ptfu! — pek! ci maro! — mówił jeden i drugi — niemniej czar trwał istnym dopustem Bożym. — Skąd jednak jej się to wzięło?

Ojciec — co prawda, chłop by sosna z wejrzeniem cygana — jak huknie na złodzieja przy kłodzie — bo był leśnym zaprzysiężonym — powróz czy topor wypadają mu z ręki; a na babinę niosącą chrust lub sęki do wieczerzy wigilijnej, skoro spojrzy tylko, opamiętać się nie może do Wielkanocy. Lecz matka! „Pożal się Boże chust jej bieluśkich i chrzęściwych" — mawiały sąsiadki — ni obieli, ani oczerni. Skulona, trzęsąca, szeleści jeno kościami niby wór z kukurydzą, a ludzie prawią, że córka do matki bywa podobna! — Gdzie tam! Bajka wierutna!

— Stara Wasylowa i przy ślubie — choć to dzień radości i wesela — zachodziła się od kaszlu i płaczu, wyglądając by kiść pokrzywy przy jasnym słoneczniku, bo młody Wasyl ożenił się z wdową po leśnym — a Wawarka?

— Nieurodził się jeszcze malarz — mówił szewc z Parehańca, rzekomy lew wioskowy — któryby ją odmalował. Niema pisarza, któryby ją opisał. Jak też nie ma człowieka — dodawał podkręcając wąsa dla zamaskowania doznanych zawodów — któregoby ona pocałowała! — Harda dziewczyna!

Brunetka z matową cerą i śliczną kibicią, królowała w okolicy. Nazywała się właściwie Barbara, ale ponieważ należała do obrządku wschodniego, krewni najbliżsi, wybijający w cerkwi pokłony wołali na nią: Warwarko! Ciotka zaś ekonomowa i cały personal służby dworskiej tytułowali: „Basią, Basieńką", z wielkiem przejęciem się i zadowoleniem skandując owo imię królewskie.

Od zapust aż do adwentu najbogatsi gospodarze przysyłali do niej „swatów". Najdumniejsze matki nazywały „gołąbką" (Hołubońką), jednak nie zawsze dla gładkości jej lica, ani giętkiej kibici, ale — co z powieści naszej ściera barwę fantastyczności — dla sześciu krów wypasających się w moczarach, 16tu sznurów korali, czystych i jędrnych, jak wybierana fasola, czterych morgów gruntu — no — i innych dodatków potrzebnych w gospodarstwie młodej krasawicy, nie wyłączając kalety z srebrniakami. Ludzie wszędzie są ludźmi i najmniej wykształceni dobrze liczyć umieją!

Warwarka pojęła to snać subtelnym rozumem swoim, gdyż dotąd nie przyjęła żadnego z zalotników, a ojciec, acz pił wódkę swadziebną, nazajutrz zaraz odsyłał za nią pieniądze.

— Trafi ona na swego — przepowiadały nieinteresowane w owych zabiegach matrymonialnych znachorki wiejskie.

— Niechno dójdzie do ośmnastki, a jak kulka potoczy się za carskie wrota.

Wszelako choć ośmastka nadeszła, Warwarka tak samo, niezmiennie, wplatała purpurowe wstęgi w długie warkocze, tak samo wdziewała kamlotową spodnicę bez wzorzystego rańtucha, i w ten sam sposób jej jedynie właściwy wyrzucała głowę do góry, jak klacz arabska.

— Nie chcę żadnego z tych opętańców, tatusiu mój serdeczny — mówiła zwykle, gdy za dygnitarzami wioskowymi drzwi się zamknęły.

— E, co ci? Skąd oni opętańce? — przedkładał ojciec.

— Bo jak opętani, mojego wiana łakną.

— Szewc chyba nie.

— Ha! ha! ha! ha! ha — wybuchła śmiechem srebrzystym.

— Niemądra głowa! Chuderlaczek!

Ojciec jej zawtórował. Cieszył się w gruncie z postanowienia córki, rad był jak najdłużej mieć ją przy sobie, na pociechę lat starych, ku radości i wyręczeniu! Warwarka bowiem była jego opiekunem, towarzyszem i podporą. Z cudowną zręcznością umiała robić pułapki na lisy, karmić sarny, tropić zające, poznawać szkody leśne. Z dubeltówki zabijała w lot jastrzębia, a dzewa znała lepiej, niż sprzęty domowe, pozostawione matczynej pieczy wyłącznie. Cały dzień prawie przebywała w lesie, dlatego miała cerę nieopaloną, ruchy elastyczne, a umysł świeży i naiwny.

II.

Chata Wasyla z „pod debry", stała na skraju lasu, boczną ścianą wsunięta pomiędzy buki rozłożyste, mając w tyle pagórek zarośnięty młodymi świerkami, z przodu zaś sad śliwkowy. Z małych jej okienek po przez gałęzie, widzieć było można w dolinie cerkiew lśniącą kopułą i szkołę świeżo pobitą gontami, oraz mnóstwo kłąbów i ogródków, w których kryły się skromne zabudowania wieśniacze.

Było właśnie po świętym Michale. Wiatr od rana zagnieździł się w drzew wierzchołkach. Szumiał i huczał, niby echo nadziemskiej muzyki, choć nie poruszał żadnej trawki na ziemi, ani ziębił powietrza ogrzanego jasnemi promieniami słońca.

Dopiero nad wieczorem zniżył się nieco ostrożnie i pomalutku, jak złodziej po łup przychodzący, a ustaliwszy się w ten sposób, raptem zmienił taktykę. Zadął odrazu z całą mocą, huknął z przerażającą siłą. Świeżo skopane kartofliska pruł, niby oracz na wiosnę, rozrzucając ziemię masami, zmiatał resztki otawy, źdźbła słomy z podwórza, wywracał małe drzewiny, oraz stosy opalu przygotowanego na zapas, broił i hulał a w górze sekundowały mu ciemne opony chmur, wyrzucające iskry elektryczne, które jak węże świetlane okrążały horyzont.

Wasylowa zamknęła szczelnie komórkę z drobiem i prosięciem, zastawiła drzwi od stajni grabiami żelaznemi, a bojąc się ognia rozniecić, przysiadła w kącie cichutko, podczas gdy Warwarka z zajęciem przyglądała się przez okienko grze żywiołów, mając śliczną twarzyczkę, czerwoną łuną zorzy wieczornej i odblaskami błyskawicy rozrumienioną.

— Odeszłabyś od okna — rzekła matka, żegnając się pobożnie, gdy piorun uderzył w pobliską sosnę nad jarem.

— Może ojca wypatrzę, oj! zmoknie nieboraczyna, deszcz puścił się, jak z cebra.

Stara chciała coś odpowiedzieć, lecz silny napad kaszlu i łomot w sieni, nie dozwolił jej dojść do słowa, a w izbie tymczasem ukazała się barczysta postać leśnika.

W szarej odzieży, w kapeluszu na głowie wypełniał całą drzwi przestrzeń i wyglądał, niby obraz w ramach sosnowych. Córka skoczyła czemprędzej odebrać mu strzelbę, którą powiesiła na kołku, poczem zdjąwszy wierzchnie ubranie z niego, znikła w sieni.

Wasyl leśny był uosobieniem porządku, a jakkolwiek dym wybiegający małym otworem, smolił większą część chaty w izbie wewnątrz panowała wzorowa czystość; za nic więc nie przekroczyłby progu świetlicy w odzieży ociekającej.

— Zmokliście ojcze — rzekła Warwarka podając mu kaftan samodziałowy.

— Żeby to jeno! ale hultaje! łotry! rozbójniki! podkradli się pod najpiękniejsze moje drzewa nad Stawiszczem!

— O! i cóż!

— Cztery największe sosny podcięte, a jedna zrąbana!

— O! o! o!

— Już onegdaj widziałem ślad w smerekach, ale miarkuję sobie, przy drodze gałęzie, może kto ot! sobie ściął dla zabawki, a tu dziś taka sromotna szkoda! Myślałem, że upadnę, śliczne sosny! A bogdajże cię łotrze przeklęty!

— Nie znaleźliście trzasek? — może za nimi stropić go można?

— Gdzie tam! Ziemia jak próchno, wiatr zmiótł wszystko do szczętu. Doloż ty moja dolo! żebyż to się tak dziedzic dowiedział! Dwadzieścia lat służby poszłoby marnie. Przy-

kazał mi onych sosien strzedz, by oka w głowie, bo to w nas jak złoto, odkąd Szmul cały ług zaharatał! O! o! i takie moje strzeżenie!

— Wyście przecie niewinni — perswadowała córka, zajmując obok niego miejsce na ławie, bez względu, iż stara matula żywo krzątała się po izbie, dla przyrządzenia wieczerzy. — Złodzieja odkryjemy, dziś czy jutro, nie martwcie się! (C. d. n.)

TEATR.

Rzut oka na scenę krakowską.

I.

(Dokończenie).

Kierownik artystyczny, świadomy środków, prowadzących najlepiej do celu, musi mieć najpierw wielki zasób dobrej woli i poczucia obowiązku; mając przed swojemi oczami roztoczony wyraźnie literacki widnokrąg, potrafi on zebrać wszystkie siły, by dane dzieło znalazło warunki i otoczenie najgodniejsze. Gruby materyał pod jego umiejętną ręką zamieni się w miękką masę, podatną do uwadatnienia potrzebnych kształtów; nieruchome figury sceniczne dzięki reżyserskiej zręczności nabiorą życia i nauczą się chodzić po scenie; bezbarwny wygląd tłumów zalśni migotliwym kolorytem efektu; cisza przeraźliwa obojętnych i flegmatycznych statystów zadrga tonami odgłosów rzeczywistości; słowem, dobędzie się ze sceny wyraz prawdy i sztuka przemówi z całą dramatyczną potęgą.

O udoskonaleniu w tym kierunku ani na chwilę nie powinna zapominać nasza dyrekcya. Trzeba wydać kilkaset reńskich na kostiumy; trzeba koniecznie wygimnastykować tłum, podwyższając mu zarobek od przedstawienia; trzeba pomnożyć liczbę prób, a co najważniejsza, trzeba zrobić dobry początek i zainaugurować jakieś arcydzieło dramatyczne za pomocą sił własnych. Za pomyślny skutek ręczymy.

Nie wymagamy rzeczy niepodobnych. Na początku sezonu niechaj kierownik artystyczny w porozumieniu z znawcami teatru wybierze jaki utwór szerszego znaczenia, niechaj pracy nad nim poświęci choćby parę miesięcy, aby nie przeszkadzać próbom bieżącego repertuaru i niech w końcu dyrekcya złoży pewną ofiarę na porządne wystawienie dzieła, a Kraków potrafi ocenić trudy, nagrodzić usiłowania i obdarzyć poparciem bezwzględnem umiłowaną przezeń scenę.

Inicyatywa jednak podobnych przedstawień wychodzić powinna nie od pojedynczych artystów, którzy na swój benefis wystawiają najpopularniejszy towar z rynku dramatycznego, ale od kierujących teatrem osób, na tem bowiem zyskuje powaga instytucyi i podnosi się jej kredyt moralny.

Uwagi powyższe nasunęły mi się podczas przeglądu sztuk, jakie grano na scenie naszego teatru; dyktowała mi je szczera miłość naszego teatru, który ma wszelkie dane po temu, żeby obecnie został pierwszym w Polsce. Zdanie swoje wypowiadam bez żadnych osobistych wycieczek przeciwko komukolwiek, ponieważ nie o ludzi mi chodzi, lecz o rzecz samą.

Sezon bieżący ma się ku końcowi. W następnym artykule przyjrzymy mu się bliżej przy szczegółowym rozbiorze repertuaru; wówczas wyprowadzić się będę starał wnioski ogólne z materyału, jaki daje zbiór sztuk granych na naszej scenie; wówczas powiem, o ile, według mego zdania, teatr odpowiedział swojemu przeznaczeniu, podkreślę strony dodatnie jego działalności i wskażę ujemne; wtedy również pomówię o naszej drużynie artystycznej, która zasługuje na sąd przedmiotowy. Obecnie ograniczam się do skreślenia ogólnych rysów, zostawiając resztę na później.

Jest faktem spełnionym, że scena krakowska w ciągu kończącego się sezonu zapoznała publiczność naszą z mnóstwem utworów dramatycznych, mniejszej lub większej wartości, w każdym razie ciekawych, często dobrych i pięknych. Rzut oka na repertuar, grę artystów i wystawę sztuk przekonywa nas, że było w działalności dyrekcyi dużo szczęścia, w wyborze utworów wiele rozmaitości, w interpretacyi czasami zupełny artyzm. Podnieść muszę wprowadzenie do repertuaru kilku sztuk oryginalnych, nowych, oraz wznowienie niektórych dzielnych, dawniejszych utworów dramatycznych. Nie mogę także pominąć milczeniem zaangażowana paru młodych talentów; chociaż stwierdzić muszę jednocześnie szczerby wielkie, w ostatniej dobie w personelu powstałe. O naprawie w tym kierunku pomyśleć musi dyrekcya koniecznie.

Rezultat materyalny ujemnym być nie może, ponieważ teatr dość szczelnie zapełniała publiczność. Pomimo, że dyrekcya w bieżącym sezonie nie robiła eksperymentów niebezpiecznych — w rodzaju sprowadzania tancerek — nie brakowało widzów dobrze usposobionych i przychylnych.

Wskazówka to poważna i nauczająca. Nie wątpimy, że w przyszłości nie potrzeba się będzie nigdy uciekać do nadzwyczajnych widowisk, które przynoszą ujmę teatrowi. Tylko trochę umiejętności w wyborze utworów, tylko wiele starania o poprawność wystawy i gry, tylko dużo troskliwej pieczy około wszystkiego, co ma związek ze sztuką prawdziwą — a powodzenie zapewnione....

Nie pozostał bez wielkiego wpływu na nasz teatr pobyt gościnny na scenie krakowskiej Heleny Modrzejewskiej. Niepospolita artystka wniosła tu, oprócz osobistych własności i pierwiastków olbrzymiego talentu, również inne czynniki sztuki wykonawczej, wraz z nią wyjrzała z za kulis kryjąca się oddawna uporczywie poezya gry. Publiczności otworzyły się oczy na istotę piękna, świat aktorski przekonał się, gdzie są wyżyny artyzmu, i kto na nie wkroczyć może. Udział Modrzejewskiej w przedstawieniach teatralnych wyróżnił je w wysokim stopniu od innych, ale nie zaszkodził scenie, która z wrażeniem przez artystkę wywołanem, liczyć się musi. Tem koniecznej dzisiaj trzeba będzie pracować nad stworzeniem takiego ciała zbiorowego na scenie, któreby zastąpić mogło wielką pojedynczą siłę. Czy to się osiągnąć uda — przyszłość pokaże.

A. Dobrowolski.

KILKA SŁÓW O PANI MODRZEJEWSKIEJ

w roli Lady Makbet.

Lady Makbet od chwili, kiedy wychodzi na scenę, ma tylko jednę jedyną cnotę: kocha swego męża do szaleństwa. Jeśli jej dusza z natury ma w sobie pierwiastki zła, ziarno zła: to ziarno owo rozwija się w olbrzymie, przerażające ogromem drzewo dopiero pod wpływem namiętnej miłości, pod wpływem tego palącego słońca jej duszy. Lady Makbet nie istnieje sama dla siebie, ona żyje Makbetem, rozmarzają ją jego czyny, ona jest jego dumą dumna, jego ambicyą ambitna. Lady Makbet po za mężem nie widzi nic, dla niego poświęciłaby Boga, świat i siebie samą, pochyla głowę przed bohaterem — czuje się nad nim wyższą tylko woli potęgą i przebiegłością.

Taki sąd o pojęciu charakteru Lady Makbet przez panią Modrzejewską powzięliśmy, ujrzawszy ją w tej roli. Artystka akcentuje silnie gorącą zmysłową miłość lady do męża (sposób witania, rzucenie się w objęcia męża przy słowach: „Nada blask przyszłym dniom i nocom naszym“ (wypowiedzianych lubieżnym półszeptem), akcentuje również wszystkie ustępy,

gdzie wola żony walczy z wolą męża i podnosi zwycięstwo, gdzie przebiegłość jej zdumiewa, usidla, popycha do czynu chwiejnego, prostodusznego Makbeta.

Charakter potwornie złej kobiety, bo taką z natury jest bohaterka tragedyi, odczuła i odtwarza nasza wielka artystka nieporównanie. Nim jeszcze lady zacznie działać; już spojrzenie jakieś zimne, przeszywające, już głos twardy, ostry przy czytaniu listu, znamionują, że ta kobieta jest zła, że trzeba jej się strzec i uciekać od niej. Nie mamy miejsca na szerszy rozbiór gry pani Modrzejewskiej. Zaznaczymy tylko, że artystka nie pominęła ani jednego szczegółu, że wyzyskała wszystko, co się dało wyzyskać głosem, oczyma, ruchem, milczeniem, że w zdumienie poprostu wprawiła nas nietylko genialnym swoim talentem, ale i głęboką, nadzwyczajną inteligencyą w pojęciu roli. A jednak — zdaniem naszem — lady Makbet pani Modrzejewskiej nie wyklucza zwycięsko i stanowczo odmiennych interpretacyj tej samej roli, a te odmienne interpretacye mogą być nie mniej świetne. Lady Makbet w grze pani Modrzejewskiej jest — według nas — za mało demoniczna, za mało przerażająca, za mało osłupiająca swoim geniuszem zbrodni, za mało surowa, brutalna i dzika. Prawda, że nie jest ona, prócz miłości do męża, zupełnie ludzkich uczuć pozbawiona: kochała dziecko, nie ma odwagi aby zabić Dunkana, gdyż jest podobnym do jej ojca, niechce zastanawiać się po zabiciu, bo się zastanawiać lęka — ależ te wszystkie cechy ludzkości są niczem prawie w obec nadmiaru zbrodni, do jakich lady jest zdolną. Pani Modrzejewska nie zatracając nic, nie usuwając nic w cień, wygładza przecież niezmiernie ostre kontury, przyćmiewa oślepiająco jaskrawe światła dla logiki. Tylko taka złagodzona lady Makbet może w ten sposób zdejmować koronę, może takim tonem skarżyć się przy myciu rąk, może tak westchnąć, tylko taka lady Makbet może budzić współczucie, żal, który gardło ściska, a tego chce artystka widocznie. Pani Modrzejewskiej lady Makbet nie jest — zdaniem naszem — wierną fotografią szekspirowskiej kreacyi, jest tylko podobnym do niej bardzo, mniej twardo malowanym portretem, nie mniej jednak arcyświetnym. X.

Ze Lwowa.

Mieczysław Chrzanowski, zmarły przed kilku laty dyrektor izby rachunkowej w Wydziale krajowym i tłomacz kilkuset dzieł scenicznych — nie długo przed śmiercią zabrał się do napisania historyi teatru lwowskiego, do której od dawna gromadził materyały. Z pomiędzy wielu arcyciekawych szczegółów, które szkoda, że pójdą w zapomnienie — utkwiła mi w pamięci książka, w której naklejał przez cały szereg lat recenzje teatralne, powycinane z rozmaitych lwowskich dzienników. Świstki te, pisane kiedyś z całą powagą — są dziś nieskończenie śmieszne, a przez zestawienie jednych obok drugich — zadziwiają swoją sprzecznością. Jeżeli np. recenzentowi jednego dziennika podobał się dyrektor, dla drugiego jest on typowym głupcem i ostatnim z ludzi. Sztuka, budząca zachwyt jednego z krytyków, drugiemu wydaje się „zlepkiem scen, bez żadnego związku, w której dobre są kradzione, a złe wyłączną własnością autora.“ — Aktor lub aktorka X. jest pierwszorzędną znakomitością, jak powiada jeden z recenzentów, gdy tymczasem tego samego dnia w innym dzienniku inny recenzent odsądza ich od wszelkiego talentu i radzi, aby jak najprędzej do innego przerzucili się zawodu. I tak dalej i tak dalej... bez końca!

Po co ten wstęp i czego on dowodzi?

Ma on cel podwójny. Nasamprzód przypomnieć bardzo pracowitego człowieka, któremu śmierć przeszkodziła wydać dzieło, w które włożył kilkanaście lat żmudnej pracy i benedyktyńskiej cierpliwości, a powtóre na przykładzie wykazać, jak trudno pisać o teatrze lwowskim, zwłaszcza, ażeby zaraz nie spotkać się z zdaniem wprost przeciwnem.

Czy jednak nie ma sposobu pisać o teatrze tak, aby nie wywoływać skądinąd tak rażących sprzeczności? Sądzę, że jest — mianowicie: należy pisać chłodno, bez namiętności i zacietrzewienia, bez sympatyi i antypatyi, bądź dla kierownika sceny, bądź też dla artystów, słowem pisać bezstronnie.

Sezon operowy trwał w tym roku dłużej jak zawsze, a ku końcowi zwłaszcza opera nasza śmiało mogła współzawodniczyć z operą, któregokolwiek ze stołecznych teatrów. W obec tego nie bardzo można się dziwić i nie bardzo brać za złe dyrekcyi, że wszelkie swoje usiłowania skierowała w tę stronę, mniej jeszcze jak dotąd zajmując się dramatem.

Dramatem *sit venia verbo*... tym od dawna nikt się nie zajmował we Lwowie — należałoby powiedzieć: komedyą i to komedyą lekką, farsą i wreszcie ulubienicą naszej publiczności: operetką.

Nie będziemy wskazywać dróg dyrekcyi, pouczać ją, jak to czynić należy — gdyż uważamy to za rzecz wprost śmieszną, a nauk tych udziela się jej z różnych miejsc bez końca i bez zastanowienia, a zawsze z jednakowym skutkiem — sucho więc tylko zapiszemy co grano i jak grano.

Więc naprzód w kwietniu wystawiono „Ewę“ dramat Ryszarda Vossa. Dlaczego ją wystawiono? trudno powiedzieć. W Niemczech sztuka ta miała mieć powodzenie — ale cóż tam powodzenia nie miewa.“ W Warszawie zaś padła na wszystkie cztery nogi, to więc powinno było ustrzedz dyrekcyę przed tym — niewątpliwego skutku eksperymentem. Natomiast wyznać należy, że rzecz tę odegrano arcystarannie, a rola „Matki“ — jednej z artystek zajmujących użyteczne, chociaż mniej wybitne stanowisko, pomogła do wysunięcia się na plan pierwszy.

Wesołą farsę Laufsa p. t.: „Szalony pomysł“ jeżeli pomimo ślamazarnej gry nie zabito od razu, to tylko dlatego, że rzecz to pełna niezaprzeczonego humoru, mimo, że pozbawiona głębszej wartości, właśnie dla tego humoru musiała się podobać i urągała zapędom karawaniarskim naszych artystów.

Wznowienia: „Wielkiego Bractwa“ Fredry i „Nitki jedwabiu“ Sardou nastręczyły sposobność pani Nowakowskiej przypomnieć się publiczności tylko po razu i to nie szczególnie — zapełniły salę teatralną.

W dniu pierwszym maja, wyjechała dyrekcya ze sztuką Fuldy pt.: „Raj utracony“. — Nasza cenzura teatralna musiała być w djabelnym kłopocie! Nie można przecież zakazywać rzeczy granej w Burgu, na której był obecny Cesarz, a po przedstawieniu kazał sobie do loży sprowadzić reżysera i podziękował mu za staranne wystawienie dramatu. Gdyby nie ten, powszechnie znany szczegół — nie oglądalibyśmy tej rzeczy we Lwowie — tem więcej w dniu pierwszym maja. — „Raj utracony“ ma wartość niezaprzeczoną, akt drugi zwłaszcza — niesłychanie zręczny i piekielnie efektowny — tę jednak ma naszem zdaniem słabą stronę, że rozbudza namiętności, gra na nich całą siłą talentu autora — gdy tymczasem łagodziłby je należało. I to wszystko w dniu pierwszym maja, gdy galerje pełne były świętujących robotników, przyjmujących każde słowo drugiego aktu oklaskami i objawami tak namiętnego zadowolenia, jakich scena skarbkowska nigdy nawet na „Kościuszce“ nie słyszała. — Ról prawie nie umiano wcale, a całe przedstawienie było nieustannem borykaniem się wszystkich bez wyjątku artystów z suflerem — gdy więc ci, dla których dano sztukę raz jeden przyszli, a tym nie wielu, którzy do teatru dla gry samej chodzą — dano podziwiać tylko silne płuca suflerskie — nie dziw, że „Raj“ zrobił należytą „klapę“. (C. d. n.)

Jamnik.

ZE ŚWIATA DŹWIĘKÓW.

Ze Lwowa.

Poświęciwszy w ostatniej korespondencyi szczególną wzmiankę o muzyce, wykonywanej w czasie obchodu 3 Maja, z umysłu pominęliśmy koncerty inne, którym jednakże ze względów artystyczych nie podobna w sprawozdaniu odmówić miejsca. Mamy tu na myśli dwa koncerta Śliwińskiego, dane przy końcu kwietnia. Niestety, podobnie jak w Krakowie niezbyt szczęśliwie udały się one ze strony materyalnej. Niewłaściwa pora była bez wątpienia jedyną przyczyną tego, bo Śliwiński pianista bardzo wysoko uzdolniony i wykształcony a przytem człowiek jednający sobie sympatyę z łatwością, przed rokiem zdołał publiczności naszej zebrać znacznie więcej niż obecnie. Gra jego podobała się tutaj, tak za pierwszą bytnością, jak obecnie; mimo bowiem, że stopień jej doskonałości zmienia się, ulegając wpływom chwilowym, to jednak ogólny rezultat wrażeń jest zawsze niezwykły; zwłaszcza, że artysta pod koniec koncertu zwykle sam się bardzo ożywia i wtenczas elektryzuje publiczność.

Najwięcej zajmującym był trzeci jego koncert dany już w maju. Odbył się w teatrze i z współudziałem orkiestry. Tu usłyszał Lwów po raz pierwszy oryginalną kompozycyę Tschajkowskiego koncert B-moll z orkiestrą. Jeżeli kto kiedy miał ochotę Tschajkowskiego pisać przez Cz. lub wskutek nieznajomości literatury muzycznej lub pomyłki mieć go za Polaka (zdarzało się to nieraz u nas), to kompozycya ta niezawodnie raz na zawsze usunęła możliwość podobnego przypuszczenia. Typ występuje tu tak wybitnie, zwłaszcza w części ostatniej; tak rozszalałą jest fantazya kompozytora i forma jaką się posługuje, tak stepowy wieje z niej duch mimo, iż niejednokrotnie zamyka się w wytworne a nawet czarujące dźwiękiem kształty; że zapoznawać narodowości kompozytora ani tendencyj jego niepodobna. Wykonanie utworu tego było ze strony Śliwińskiego doskonałe, olśniewające — ze strony orkiestry naszej (kierowanej ręką Jareckiego) bardzo poprawne. W ogóle trzeci ten występ Śliwińskiego był najświetniejszy, a pod względem udziału publiczności — dodać należy — najszczęśliwszy.

Nie wszystko to jednak co nam Maj przyniósł. Mieliśmy jeszcze koncert kompozytorski p. Wilhelma Czerwińskiego, jednego z tutejszych muzyków, który co roku występuje z podobną produkcyą.

O urządzaniu kompozytorskich koncertów dałoby się wiele powiedzieć. Przedewszystkiem zauważyć należy, że mało istnieje kompozytorów, których dzieła mogłyby z korzyścią dla siebie, wypełnić cały program koncertowy wyłącznie. Nigdy bowiem słaba strona lub pewna maniera, od której najwięksi mistrzowie nie są wolni, nie występuje tak plastycznie jak wtenczas, gdy zamiast jednego lub kilku, spotyka się słuchacz z kilkunastoma utworami jednego pióra. Nawet tak genialne a przytem tak sympatyczne kompozycye jak Mendelssohna lub Chopina, nie znoszą tego systemu układania programów. Cóż dopiero mówić o produkcyach talentów średnich, małych lub nie dość wykształconych?... Nie dadzą one nigdy artystycznego zadowolenia.

Ale na szczęście, krytyka nie z tego punktu obowiązaną jest je oceniać. Mają one inne znaczenie, które też stanowi całą słuszność ich bytu.

Za granicą urządzają je przedewszystkiem kompozytorowie młodzi, niemający stosunków z nakładcami, nieznani jeszcze publiczności. Jestto zwykle w takim razie debiut kompozytora a zarazem dyrygenta lub często wykonawcy w jednej osobie; po urządzeniu takiej produkcyi, młody kompozytor zdobywa sobie korzystne propozycye nakładców, ajentów i t. d.; publiczność zaś (oczywiście bardzo w sztuce zamiłowana) nie tyle zadowolenie w samej produkcyi, ile zajęcie w poznaniu nowego talentu znajduje. Koncerty wreszcie o programach wyłącznych urządzają się na cześć jubilatów — niekiedy znowu wirtuozi — specyaliści lubią poświęcać wieczór cały jednemu kompozytorowi.

U nas jednakże koncerty kompozytorskie mogłyby mieć donioślejsze znaczenie. Mogłyby wpłynąć znacznie na rozwinięcie ruchu kompozytorskiego i nakładniczego a może nawet na rozbudzenie talentów — przytem dawałyby publiczności pogląd na wszystko, co się w tym świecie dzieje, a dzieje się w każdym razie więcej, niż nasza publiczność o tem wie. Musiałyby jednak tak być urządzane, aby były istotnie obrazem najnowszej działalności kompozytorów naszych, i aby stroną artystyczną pociągały ogół.

Przed laty kilkoma mieliśmy we Lwowie koncert kompozytorski Zygm. Noskowskiego, tej zimy Władysława Żeleńskiego, wreszcie w ostatnim miesiącu wspomniany koncert W. Czerwińskiego, muzyka, który jakkolwiek nie stoi na poważnem stanowisku dwóch kompozytorów tej miary co Żeleński lub Noskowski, jednakże pracowitością swoją i co roku urządzanemi produkcyami zwraca uwagę wszystkich, którzy interesują się ruchem muzycznym. Jestto talent, spoczywający głównie na wielkiem, gorącem przywiązaniu do sztuki; talent idealisty, któremu brakuje krytycznego poglądu; który zbyt jest rozmiłowany we własnych pomysłach, aby się z niemi dość surowo (tak jakby nieraz należało) obejść; który wreszcie wszystkich form się chwyta wokalnych, instrumentalnych i symfonicznych, podając zwykle najpierwszą swą inspiracyę tak jak ona przy fortepianie lub na papierze nutowym się pojawi. Muzyka w ten sposób tworzona, posiada wprawdzie pewien rodzaj ciągłości, nawet nastroju, często uderza pięknemi myślami, że jednak brak jej wyższego szlifu i jasności kształtów, przeto nie może utrzymać słuchacza w zajęciu dłuższem i o tyle mniej nadaje się do koncertu kompozytorskiego. Dowodem był właśnie koncert ostatni, w którym obdarzył nas autor uwerturą, koncertem fortepianowym z ork., kantatą chóralną, pieśniami i t. d.

Mamy tedy w ręku doświadczenia z lat ubiegłych i najświeższe — przykłady rozmaitej miary. Wszystkie pouczają nas, że ten system nie prowadzi do celu: zapoznaje nas bowiem tylko częściowo z ruchem muzycznym; kompozytorom zaś nie wyrabia popularności w tym stopniu, jaki powinien być nagrodą ich talentu i pracy.

Zdaniem naszem, rzeczą wszystkich, którzy dzierżą w ręku kierownictwo instytucyj muzycznych naszych, jest urządzanie koncertów, któreby albo zamieszczały w programach większą ilość utworów naszych kompozytorów, albo nawet składały się wyłącznie z nich, byle nie były poświęcone jednemu tylko pióru. Wszakże i p. Czerwińskiego utwór niejeden, dany osobno, sprawiłby wrażenie korzystne na koncert fortepianowy, zawierający wiele ładnych myśli i efektownych ustępów.

Nie zapominajmy też, że posiadamy obecnie kilka imion, z którymi nie dość często spotykamy się na programach tak lwowskich jak i krakowskich koncertów. Należałoby częściej słuchać Żeleńskiego i Noskowskiego, Jareckiego, Paderewskiego, Galla lub zapoznawać się z Maszyńskim, Pankiewiczem, Stojowskim i wielu innymi warszawskimi kompozytorami. Kto wie, czy łudzimy się przypuszczając, że tym sposobem obudziłoby się pożądane większe życie na tem polu sztuki, u publiczności zaś większe poczucie i żywsze zainteresowanie się utworami własnych kompozytorów.

A. Niewiadomski.

LITERATURA.

„Straszna Drużyna“. Obraz historyczny z przeszłego stulecia. Przez Juliusza Turczyńskiego. Kraków. Nakładem „N. Reformy“ 1891, str. 159.

Fantazya autora na tle rzeczywistego zdarzenia osnuła wątek obrazu, którzy czytelnika w najwyższym stopniu inte-

resuje. Juliusz Turczyński pisuje od lat kilku w „Nowej Reformie“ opowiadania z życia huculów, pełne prawdziwych, malowniczych ustępów; są to rzeczy traktowane ze szczególnem zamiłowaniem przedmiotu i odznaczające się doskonałą charakterystyką zwyczajów ludu. W ostatnim utworze Turczyńskiego znajdujemy wszystkie zalety utalentowanego pióra, podniesione jeszcze wyżej przez nastrój fantastyczny i legendowy urok, jaki z obrazu tryska wyraźnie. Rzadko kiedy można spotkać książkę, którąby się czytało z takiem zaciekawieniem i uwagą, jak utwór p. Turczyńskiego.

*** Księga pamiątkowa setnej rocznicy ustanowienia Konstytucyi 3-go Maja zebrał i ułożył Kazimierz Bartoszewicz. Tom I., wielka 8-ka, str. 320.

Wielka rocznica powołała do życia wiele broszur i dziełek jednodniowej wartości, — Księga pamiątkowa jest zaszczytnym wyjątkiem i ona jedynie pozostanie w literaturze historycznej jako godne uczczenie Trzeciego Maja. Wydawca jej, a po części autor, p. Kazimierz Bartoszewicz, postanowił w „Księdze“ dać dokładny obraz nietylko samego uchwalenia konstytucyi, ale całego ruchu umysłowego ówczesnej Polski, dążącej do zmiany rządu i ustroju społecznego. Księga więc daje najprzód obraz prac przygotowawczych, potem przedruki niezmiernie ciekawych broszur Kołłątaja, Staszyca, biskupa Krasińskiego, ks. Jezierskiego, dalej zbiór utworów poetycznych (w części z rękopisów), pomiędzy którémi odznaczają się niezwykłą cietością satyry i paszkwile Trembeckiego, nie objęte żadnem wydaniem dzieł tego pisarza. Dzień 3 Maja i dnie go poprzedzające opisał sam wydawca, wyczerpawszy wszelkie możliwe źródła i ubarwiwszy opowiadanie wyborną charakterystyką postaci i nadzwyczaj plastycznem przedstawieniem rzeczy. Ta sucha niby historya czyta się jak powieść historyczna, tyle w niej życia, tyle materyału anegdotycznego, tyle obrazowości. Nie jest przesadą twierdzenie, że w całej naszej literaturze 3go Maja, niema monografii tak szczegółowej i tak wybornie wielki fakt przedstawiającej. Naturalnie znajduje się w Księdze i dokładny tekst konstytucyi. Tom drugi, zapowiedziany na pierwsze dni czerwca, pomieści dużo nieznanych materyałów dziejowych i da obraz wrażenia, jakie wywarła konstytucya na współczesnych. Zakończy Księgę dokładny opis obchodów setnej rocznicy w Galicyi, w Poznańskiem i za granicą. Księga wymaga obszernego rozbioru, który jej w swoim czasie poświęcimy.

Dopełnieniem Księgi pamiątkowej jest wydane równie przez p. Kazimierza Bartoszewicza *Album portretów, rycin i widoków odnoszących się do 3-go Maja*. Kto chce wiedzieć jak wyglądali twórcy konstytucyi i pierwsi mówcy sejmowi, jak wyglądała Warszawa, jakim był zamek królewski i kościół św. Jana, w którym wykonywano przysięgę, jakie wybito medale, jak się przedstawiała sala sejmowa, jak wyglądała ona w chwili uchwalenia ustawy, jakie wychodziły ryciny allegoryczne, jak wreszcie wyglądały ówczesne druki i pisma, ten w Albumie znajdzie świetny materyał dla siebie. Zebrał go wydawca z trudem po muzeach i zbiorach prywatnych, a wydał ozdobnie z całym pietyzmem dla przedmiotu. Szczerze mu za to każdy podziękuje, komu 3 Maj nie jest obojętny.

*** Poezye Fr. Nowickiego i A. Niemojewskiego. Rymowana poezya „młodsza“ stanowczo w tej chwili u nas upada i to bardzo gwałtownie — są jednak i tu wyjątki, wyjątki, które, jeżeli rozwijać się będą nadal tak, jak się zapowiadają obecnie, gwałtowność upadku powstrzymać potrafią, może nawet zupełnie zapobiedz mu zdołają. Oto jeden z tych wyjątków, jeden z mniej znanych młodych poetów, pan Franciszek Nowicki. W tatrzańskich jego sonetach jest dużo siły, dużo poczucia poezyi, — w ogóle wiele on czuje i dosyć ma wyobraźni, malując pejzaż górski, nie opanował jednak przedmiotu. Pod względem artystycznym sonety te pozostawiają niemało do życzenia. Styl plastyczny i jędrny często jest zbyt twardy, zbyt niewyrobiony, zdania czasem tak zbudowane, że trzeba się w nie wczytać, aby odkryć przedmiot, orzeczenie i t. d. i aby zrozumieć, o co autorowi chodzi. To są główne, zdaniem mojem, wady tych tatrzańskich sonetów. A główne przymioty?... Pierwszy ten, że autor stawił sobie za wzór sonety krymskie Mickiewicza. Kto tak wysoko mierzy, wysoki ma ideał w duszy. Drugi ten, że „Tatry“ nie są prostem naśladownictwem „Krymu;“ owszem, każdy sonet ma swoje piętno oryginalne, każdy samodzielnie jest odczuty, w każdym znać samorodny talent. P, Nowicki nie kopiuje Mickiewicza, on jest jego uczniem, zachowującym swoje własne „ja“ zawsze i wszędzie jest na małą skalę wobec Mickiewicza tem, czem na wielką skalę jest Słowacki wobec Byrona czy Shakespeare'a. Sonety tatrzańskie mimo wszystkich wad, są w ogóle ładne, nieraz piękne i znamionują niepospolite zdolności.

W „Pieśniach czasu“ kilka rzeczy z wielką siłą, i rozmachem napisanych, kilka melodyjnych i rzewnych, ogół dobry, niektóre zaś rzeczy nieszczególne. Tu, co zresztą i w sonetach gdzieniegdzie spotkać się daje, króluje wszechwładnie, idea postępowa, namiętna. Taki „Spartakus“ i kilka innych jeszcze wierszy, wierszy pięknych w całem tego słowa tego znaczeniu, wystarczyłoby zupełnie, aby świat miał pojęcie o kolorze duszy autora.

Na zakończenie jeszcze powiemy, że mimo wszystkich wad, jakiem wytknął i których nie wytknąłem, „Poezye“ Nowickiego są obok poezyj p. Kasprowicza według mnie najlepszemi, jakie się w ostatnich czasach pojawiły. P. Nowicki powinien się starać być więcej artystą, mniej zaś tendencyjnym, — a wtenczas jego „gwiazda ponad czołem“ jasno prawdopodobnie zabłyśnie, wszystkim widzialna.

To jeden, to wyjątek — — drugi, czy wyjątek?... Pan Andrzej Niemojewski ma siłę, ma łatwość rymu i melodyę rytmu, ma zapał, ma talent, — — czy jednak duży talent?... Podobno prozą napisał dobre rzeczy, wierszem napisał także kilka dobrych, za mało jednak na tom o 100 str. Świeżo wydane jego „Poezye“ są pełne zapału młodzieńca. W ogóle jest pan Niemojewski śpiewający; czasem śpiewa z wdziękiem („Sielanka“), czasem bez wdzięku („W dziesiątym pawilonie“). Śpiewa on nawet tam, gdzie wcale nie potrzeba śpiewać, lecz trzeba mówić. P. Niemojewski odczuwa naturę, maluje ją wcale dobrze, ma lotne i gorące myśli, ale za mało ma miary artystycznej, zmysłu artystycznego. Wyobraźnię ma ruchliwą, ruchliwszą od p. Nowickiego, język giętszy, barwniejszy, za to daleko mniej plastyczny. Mimowoli nasuwa się tu porównanie tych dwóch młodych poetów, równocześnie bowiem prawie wydali swoje utwory i mają pewne cechy wspólne. Obaj są pesymiści, obaj wyznawcy idei ultrapostępowych i szczerzy patryoci.

*** Ave Patria! Wiersz poświęconypamięci d. 3 Maja, zawiera w sobie głębokie uczucie patryotyczne, ujęte w harmonijną formę poetycką. „Ojczyzno moja bądź błogosławiona!“ woła poeta w uniesieniu... Uczucie w wierszu: *Ave Patria!* czyste i ciepłe znajduje odblask w uczuciu narodowem polskiem. Poeta błogosławi Ojczyźnie za to, że pieśń wolności kołysze dzieci nasze do snów o niej.

(G.) „Zarys filozofji Herberta Spencera“ przez Howarda Collins'a, tłómaczenie z angielskiego na francuzki język przez de Varigny'ego. (Paryż 1891).

Collins poświęcił pięć lat pracy, zanim zdołał w jednym tomie o 500 stronnicach zamknąć kwintesencyę filozofii socyologicznej Spencera. Autor podzielił swe dzieło na pięć części: obejmuje ono zasady biologji, psychologji, socyologji i moralności. Na wstępie sam Spencer wskazał szesnaście punktów, za pomocą których łatwiej

można rozwiązać zagadnienia, jakiemi zajmuje się książka, — są to wyborne wskazówki, udzielone czytelnikowi „Zarysu filozofji“.

(D.) „Teatr na wystawie powszechnej“ 1889“, przez Artura Pongin'a. (Paryż 1891).

Czytelnik znajdzie tutaj wszystko, co dotyczy teatru w zakresie wystawy paryskiej. Autor dokładnie zaznaczył w swej książce autografy, afisze, dekoracye, kostjumy, ich historyę, przemysł teatralny, architekturę i maszyneryę sceniczną, rysunki, portrety i t. d. Jeden rozdział opowiada o cieniach chińskich i o teatrze japońskim. Oprócz tego autor świetnie odtworzył wszystkie widowiska, jakie się odbyły na wystawie; książka to w ogóle bardzo ciekawa.

(D.) „O! to wielkie życie!“ przez Gyp'a (Paryż 1891).

Są to szkice z wielkiego świata, kreślone, przez znane już powszechnie pióro dowcipnie i zręcznie. Niema tu głębokiej obserwacyi, ale jest werwa i humor — jest temperament zmysłowy i ognisty.

(Dr. A.) „O ideale“, studjum filozoficzne, przez A Ricardou. (Paryż 1891).

Autor jest profesorem w liceum Karola Wielkiego. Ricardou bada myśl ludzką, analizuje życie, szuka w niem czynników wytwarzających w duszy powstanie pojęcia ideału. Autor w przeprowadzeniu swych zapatrywań wykazał głęboki umysł i wielki talent piasarski.

(Dr. A.) „Psychologja idjotów“ przez Dra Pawła Sollier'a (Paryż 1891).

Przez lat kilka autor był lekarzem w szpitalu dzieci — idjotów. Studja, jakie tu poczynił, posłużyły mu następnie do napisania dzieła, pełnego nadzwyczaj trafnych uwag psychologicznych. Jestto pierwsza książka we Francyi, poświęcona temu przedmiotowi. Obszernie o niej pisał przed kilku tygodniami p. Potocki w Tygodniku Illusrowanym.

(M.) „Marcella Rabe“ przez Teofila de Bauville z rysunkiem Rochegrosse'a (Paryż 1891).

Pod tym skromnym tytułem ukrywa się głęboka analiza życia i znajomość ludzkiego serca. W postaci kurtyzany nowoczesnej, autor maluje nie rehabilitacyę, ale niedolę owych nieszczęśliwych stworzeń. Romans posiada wszystkie zalety pióra Bauville'a.

(Dr. A.) „Poszukiwanie ideału“ przez Gustawa de Violaine (Paryż 1891).

Autor francuski przedstawia w niniejszym utworze dążności młodzieży dzisiejszej, targanej szponami pesymizmu i zwątpienia. Bohater przechodzi różne koleje życia, różne rewolucye duchowe — w końcu ulega mistycyzmowi, skoro go dotknęła miłość nieszczęśliwa. Gustaw de Violaine wierzy w to, że pesymizm doprowadzi całe nowoczesne pokolenie do mistycyzmu nowo-chrześcijańskiego.

(*) „Pieniądz“ przez Emila Zolę (Paryż 1891).

Najnowszy romans znakomitego pisarza ukazał się już w książce. Dzieło zasługuje na szczegółowy rozbiór, który uskutecznimy wkrótce, podając jednocześnie szkicową sylwetkę autora.

(*) „Na dnie serca“ przez Marka de Chaudplaix (Paryż 1891).

Jestto historya wzruszająca i autentyczna, której wspomnienie, dotąd w pośród żeglarzy francuzkich niczem nie zaćmione, budzi interes żywy i silny.

Z CHWILI BIEŻĄCEJ.

Zmarli.

Konstanty Dobrowolski b. obywatel ziemski. ojciec znanego w naszem mieście literata Adama, zmarł kilka dni temu w Królestwie Polskiem. Serdecznie współczujemy boleści osieroconego syna, a naszego kolegi.

— W Krakowie: dr. Antoni Ziembiński, zasłużony około rozwoju naszych stowarzyszeń obywatel.

— Rudolf Eder, honwed z r. 1848, fotograf.

— Dr. S. Gross, jeden z najzdolniejszych młodych lekarzy krakowskich.

— W Paryżu: J. J. Weiss, znakomity publicysta.

Osobiste.

P. Franciszek Zima, dyrektor kasy oszczędności we Lwowie, mianowany został honorowym obywatelem m. Lwowa w uznaniu 20letnich zasług.

— P. Helena Modrzejewska zamierza ubiegać się o dyrekcyę nowego teatru w Krakowie.

— Henryk Sienkiewicz bawi czasowo w Lublinie.

— Położenie kamienia węgielnego pod budowę nowego teatru w Krakowie odbędzie się jutro, 2 czerwca, w obecności zaproszonych na akt ten osób.

— Dr. Władysław Natanson, Warszawianin, znany uczony, mianowany został docentem fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim.

— W miejsce Feuilleta obrany został członkiem paryskiej Akademii powieściopisarz: Piotr Lotti. (Julian Viand). Emil Zola otrzymał niewielką ilość głosów.

Nauka.

— Publiczne posiedzenie Akademii Umiejętności zagaił 30 z. m. były minister J. E. dr. Dunajewski. Odczyt p. t. „Stanowisko mocarstw wobec konstytucyi 3 maja“ wypowiedział prof. Smolka.

— Komitet gospodarczy VI zjazdu lekarzy i przyrodników w Krakowie ogłosił już szczegółowy program obrad. Zjazd odbędzie się w dniach 17, 18 i 19 lipca i zapowiada się świetnie.

— Akademia Umiejętności przyznała w r. b. trzy nagrody z fundacyi im. Barczewskiego, a mianowicie: dwie za prace historyczne pp. prof. A. Małeckiemu i Wł. Łozińskiemu oraz jedną za portrety i znanemu artyście-malarzowi p. K. Pochwalskiemu. Na członków czynnych zagranicznych powołano pp. A. Brücknera z Berlina. Stojana Nowakowicza z Konstantynopola i prof. Mendelejewa z Petersburga; na członków czynnych krajowych pp.: prof. B. Dybowskiego, prof. N. Cybulskiego i prof. E. Godlewskiego. Członkami korespondentami mianowała Akademia: hr. Karola Lanckorońskiego, p. Wł. Gosiewskiego z Warszawy, A. Wierzejskiego z Krakowa. — Dzieło prof. Abrahama p. t.: „O organizacyi kościoła w Polsce przekazano do uwzględnienia w roku przyszłym.

Owoce działalności Akademii są coraz obfitsze.

Oświata i szkolnictwo.

— Cesarz zezwolił na założenie wyższego gimnazyum państwowego z polskim językiem wykładowym w m. Podgórzu.

Nowości.

— Dyrektor kasy oszczędności w Krakowie p. Slęk obmyślił, jak nam mówiono, plan loteryi, którąby dostarczyła odpowiednich środków na odnowienie kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu.

Ze stowarzyszeń.

— Prezesem krak. „Czytelni akademickiej“ obrany został p. Artur Górski.

— Stowarzyszenie architektów krakowskich obrało swym prezesem p. Jacka Matusińskiego.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu K. T. w Kr. Prosimy Sz. Pana o pofatygowanie się łaskawe do redakcyi któregokolwiek dnia z wyjątkiem niedzieli, między 11tą a 1szą zrana.

Co do utworów pańskich, jak na „jedne z pierwszych prób pióra“ nie są one zupełnie nic nie zapowiadające, ale w każdym razie dużo czasu minie, nim wiersze Sz. Pana, która z redakcyi zechce umieszczać. Drukować nie będziemy.

Autorowi „Wyśnionej“ itd. Wiersze Szan. Pana zdradzają niewątpliwy talent i artystyczne poczucie formy, są jednak zbyt — daruje Szan. Pan — studenckie, aby je można było prezentować szerszej publiczności. Mamy nadzieję, że niedługo będziemy mogli jaki bardziej dojrzały utwór pański oddać pod prasę. Obecnie żadnej z nadesłanych nam rzeczy drukować nie będziemy.

Pani Z. L. Zgadzamy się z Szan. Panią, że trudno walczyć z daltonizmem umysłowym.

Pannie Wandzie B. Styl Sz. Pani pozostawia wiele do życzenia. Niech Pani wczytuje się w pisma Sienkiewicza, Orzeszkowej, a przedewszystkiem w „Pana Tadeusza“.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.